

Nazywam się Maria Sinoradzka. Urodziłam się 12 listopada 1934 r. Ojciec - Michał Szweda, pochodził z Żywca. Był on osadnikiem wojskowym. Wyjechał na Wołyń. Zajmował się gospodarstwem. Matka Ludwika z domu Warmus. Pochodziła z Wadowic. Rodzice mieli sporo ziemi. Nie pamiętam ile tam było hektarów, ^{chyba 32 h} ale było trochę lasu, łąki, dużo pola. Matka zajmowała się domem. Do roku 1940 mieszkałam w Janówce, powiat Kowel, z całą rodziną, tzn. z rodzicami, ciocią Marią Warmus - siostrą mamy, która pomagała matce i rodzeństwem. Była nas cała gromadka dzieciaków: Eleonora /ur. w 1925 r./, Tadeusz /ur. w 1927 r./, Kazimierz /ur. w 1930 r./, Helena /ur. 1932/ Mieczysław /ur. w 1936 r./, Bolesław /ur. w 1938 r./, Michalina /ur. w 1939 r.♀.

W lutym 1940 roku w godzinach nocnych wraz z całą rodziną zostałam zabrana z domu i wywieziona pociągiem towarowym na Syberię, do dworu Swierdłowski. Rosjanie przyszli nocy. Po prostu kazali, żeby matka z dziećmi się spakowała. Matka bardzo się opierała, płakała. Bała się bardzo, bo ojca nie było w domu. Nic ich to nie obchodziło, że ojciec nie będzie wiedział co się z nami stało, ani gdzie nas szukać. Oczywiście nic nie mówili gdzie nas zabierają i dlaczego. Każdy mógł zabrać tyle rzeczy, ile zdążył. Ciocia pomagała mamie wszystko pakować, ale trudno było zabrać wszystkie potrzebne rzeczy, bo dla takiej gromady dzieciaków było mnóstwo wszystkiego co potrzebne. Nie wiadomo więc było co brać, jak to pakować.

Ciocię zabrali razem z nami. Na drugi dzień dowieźli do nas ojca. Jechaliśmy w pociągu towarowym. Leżeliśmy na pryczach. Nie mam pojęcia jak długo jechaliśmy. Wiem tylko, że od czasu do czasu otwierali drzwi wagonów i mężczyźni z wiadrami wychodzili i przynosili gotowaną wodę albo jakąś zupę. Czasami ludność cywilna rzucała nam do pociągu bochenki chleba. Jak dojechaliśmy do

Chudia, koi

miejsowości Bachudziak to przesiadliśmy się na wąskotorówkę i tą wąskotorówką dowieźli nas do posiołku. Posiołek ten był położony w głębi lasu. Był to chyba posiołek nr 109. Nie przypominam sobie, żeby miał jakąś nazwę. Przy wąskotorówce była taka wysoka hałda trocin - bo był to tartak. Pamiętam jako dzieci wzięliśmy na nią siadaliśmy sobie i śpiewaliśmy:

"skoro, skoro ja ujedę

skoro, skoro ja ujdę,

109 to prokriatyj,

Bolsze no
~~Boże~~ widiet nie хочziu.

Ty *prokriaty* ~~prokriatyj~~ porowoz,

šč za czem ty nas *zdues* ~~privioz~~".

Dzięki tej piosence pamiętam, że był to 109 posiołek. Leżał on na terenie obwodu Swierdłowskiego.

Mieszkaliśmy w drewnianych barakach. Były one zbudowane z bali drewnianych, a utykane jakimś lnem - takimi pakułami. W środku były porobione zamiast łóżek drewniane prycze. W jednym pokoju było nas nawet kilka rodzin. Nas była cała gromadka - byliśmy jednak dosyć liczną rodziną, więc mieszkaliśmy tylko z jedną rodziną. Było to jakies starsze małżeństwo. Ale normalnie w takim baraku ⁶ było po kilka rodzin. Paliło się w piecach. Na dwa pomieszczenia był jeden piec. Palenisko było od strony korytarza. W posiołku tym byli tylko Polacy.

Na terenie posiołka było bardzo dużo szczurów. Były ich takie ilości i tak strasznie biegały, że aż w mocy czuło się jakby one nas biegały. Nic nie można było utrzymać, bo one nam wszystko wyżerały. Można było przetrzymywać rzeczy tylko w szkle, albo w duchówce, bo inaczej to wszystko przepadało - zostawało pożarte przez szczury.

Początkowo nie było nam w tym posiołku tak bardzo źle. Mieliśmy po prostu rzeczy, które można było sprzedać. Wymieniało się je za kapustę, kartofle albo suchary. Pamiętam np., że miałam złoty łańcu-

szek, który dostałam wcześniej od cioci, ojciec miał wysokie do kolan buty - oficerki. Takie rzeczy można było wymienić na coś do jedzenia. Ojciec gdzieś z tymi rzeczami jeździł, poza nasz posesiołek, który był przecież w środku lasu. Chyba jeździł do jakiegoś kołchozu na ten handel, ale dokładnie tego nie wiem. W każdym razie na początku nie odczuwaliśmy za bardzo głodu.

Oprócz tych kilku baraków, w których mieszkaliśmy i komendanta, który mówił, że tak jak własnego ucha tak i Polski nigdy nie zobaczymy, nic tam nie było. Nie przypominam sobie czy oprócz niego byli jeszcze jacyś żołnierze, ale ten rosyjski komendant był na pewno. Ludzi w tym posesiołku było dużo, bo baraków było sporo. Pamiętam, że między barakami były porobione kładki z drzewa. My biegaliśmy tak między tymi barakami. Pamiętam, że kiedyś na wiosnę wywieźli nas do szalesów, tam w posesiołku truli gazem szczury. Jak wróciliśmy po jakimś czasie to jeszcze widzieliśmy jak widłami wrzucali te szczury na samochody i wywozili poza posesiołek.

Były tam robione jakieś zebrania. Trzeba było też chodzić do pracy. Wiem, że moją siostrę, która jeszcze była prawie dzieckiem też zabrali na jakiś czas do lasów. Po powrocie była cała owrzodzona i pogryziona przez komary. Brat pracował przy kolei, bo budowano kolej w głąb tajgi. Rodzice pracowali przy wyrębie lasu. Bardzo ciężko było nam tam żyć. Matka zaczęła chorować na reumatyzm, miała silne ataki bólu. Ojciec dostał kurzą ślepotę. Ciocia też wkrótce zachorowała i zmarła.

Bardzo było nam ciężko. Trochę głodowaliśmy. Dostawaliśmy trochę chleba. Był chyba jakiś przydział, ale ileś wnosili, tego nie pamiętam. W stłówkach dawali kropne jedzenie. Można tam było dostać ^{z wykupione} birki, makaron, w którym były karaluchy, zupę, ale prawie zawsze z kiszanej kapusty - nazywali ją szez, albo suszone słone śledzie. Wszystko to było okropne. Nigdy nawet chleba nie było

dużo. Ale wain to wiadomo. Wszyscy wtedy głodowali, bo była przecież wojna. Jak było ciepło to chodziliśmy bierać grzyby i klukwy - to są takie jagody. Te zbiory z lasu nosiliśmy do tzw. koperatywy - było to coś na wzór sklepu. Tam sprzedawaliśmy grzyby i jagody, żeby było można było coś za to kupić. Nie było też mydła. Dorosli naciinali jakos drzewa, coś z nich ściągali, moczyli i robili k ług. Tym ługiem wszystko się prało, myło podłogi. Ja i młodsze rodzeństwo nie pracowaliśmy. Musiało pracować tylko starsze rodzeństwo, tzn. siostra, która miała 15 lat i brat, który był też mniej więcej w tym wieku. Ale młodsze dzieci - jak ja nie były zmuszane do pracy. Wogóle nikt się nad nami nie znęcał, Nie było tak, żeby nas ktoś bił, czy szykanował. Tyle tylko, że warunki były straszne. Poza tym nie bez znaczenia było to, że był to przymusowy wyjazd, przymusowa praca dla dorosłych. Zwłaszcza zimą było ciężko. Dopiero jak temperatura spadała poniżej - 40°C, nie szło się do pracy. Pamiętam, że mój ojciec miał nogi owinięte w onuce, ma to miał kaptur z rzyka i to razem znurowane. Nie pamiętam, żeby miał jakieś walonki, albo inne buty, a zima przecież wiadomo jaka tam sroga.

W tym posesiołku był jeszcze jeden nasz wujek, k którego imienia nie pamiętam. Na nazwisko miał Warmus. Był tam też jego syn - Władek i córki: Micia i Helena i jeszcze jakieś, ale wszystkich imion nie pamiętam. Była tam też moja babcia, która została wywieziona tam z tym wujkiem, bo z nim wcześniej mieszkała. Chyba jedno z jego dzieci umarło w tym posesiołku. Wogóle była tam bardzo duża śmiertelność. Tę naszą rodzinę wymordowali potem Ukraińcy. *Z rodziny stryjecznej, która została ma Hoły nie Ukraińcy wymordowali 7 osób w tym czasie 2-ch kurzy now*

My przebywaliśmy w tym posesiołku chyba ponad rok. Byliśmy tam do czasu amnestii, tzn. momentu ogłoszenia, że Polacy mogą się poruszać po terenie ZSRR, mogą jeździć gdzie chcą. Po ogłoszeniu tej amnestii wyjechalismy do Azji Środkowej. Nie wiem czym ojciec się

się kierował wybierając ^{taki} cel. Nie wiem czy chciał zmienić warunki, czy dlatego, że tam ciepło. Jechaliśmy do Azji Środkowej pociągiem. Najpierw dotarliśmy do Czelabińska. Tym pociągiem jechało z nami dużo ludzi. Wiem, że był taki moment, że jak się wszyscy tak szybko, szybko pakowali, żeby zdążyć do tego transportu, pchali się, tłoczyli, to jakiś znajomy ojca musiał mnie wyciągać z tego tłumu, bo nie mogłam się przedostać. Do Uzbekistanu jechało też dużo Polaków. Nawet do tego kolchozu, do którego my trafiliśmy, wjechało parę rodzin. Pamiętam np. rodzinę Płaszczaków, z tym, że nie wiem co się z nimi potem stało. W Czelabińsku musieliśmy dłuższy czas koczować na dworcu, bo ukradli nam wszystkie dokumenty. Przy okazji zginęły nasze wszystkie pamiątki rodzinne. Dlatego byliśmy zmuszeni czekać w Czelabińsku do momentu wyrobienia zastępczych dokumentów. Po przesiadce w Czelabińsku i po tej przymusowej przerwie w podróży, pojechaliśmy na dwukołowej bryczce ciągniętej przez osła. Tak dotarliśmy do "kiszłaku" - tatarskiego kolchozu. Jak nas tam przywieźli w kilka rodzin do tego kolchozu to byliśmy przerażeni. W tym kolchozie - Kiszlielius przydzielono nam pomieszczenie w lepiance bez okien i drzwi - zamiast nich były tylko puste otwory. Wcześniej trzymano tam barany. Jak nas tam przywieźli tak to wygonili barany na podwórze i nam dali tę lepiankę w nich. Wiem, że rodzice rozrobili glinę i jakos zalepili podłogę, zasmarowali podłogę gliną. Spaliśmy na ziemi amatach. Nie było oczywiście żadnych mebli. Ta kibitka - bo tak to nazywali - to była straszna rzecz. A przede wszystkim nie było co jeść. Pamiętam, że ojciec ze starszym bratem poszli gdzieś i zdobyli makuchę. Normalnie to dawało się to baranom, ale byliśmy tak głodni, że też spróbowaliśmy to jeść. Trudno to było jeść, to się lizało. Ale nasze żołądki nie mogły tego przetrwać. Moja siostra Helenka zaraz potem zachorowała. Ojciec zawiózł ją do szpitala.

Po utworzeniu Armii Andersa ojciec poszedł do wojska. Myślał, że jak pójdzie do wojska to może uda mu się jakoś nas stamtąd wyratować. Zabrał ze sobą starszego brata Tadeusza. Nie był on jeszcze pełnoletni, więc poszedł do Junaków. Do dziś nie mieliśmy ani od nich ani o nich żadnych wiadomości. Po prostu ślad po nich zaginął.

Z głodu i nędzy bardzo zachorowaliśmy i zabrano nas wszystkich do szpitala do pobliskiej miejscowości / nazwy nie pamiętam /. Chyba najciężej zachorował brat ó Kazimierz, bo na zapalenie opon mózgowych. W szpitalu tym pracowała jako pielęgniarka pani Helena Lichwirowicz. Była to Polka. Ona się nim bardzo serdecznie zajęła. Wzięła go chyba nawet do swojego pokoju - słuźbówki czy dyżurki i cały czas się nim opiekowała, jak własnym dzieckiem. Ja chorowałam na zapalenie płuc. Leżeliśmy w tym szpitalu jakiś czas, ale nie tak bardzo długo, bo było bardzo duża chorych. Jak nas przywieźli z powrotem do kołchozu ze szpitala, to byliśmy tacy słabi, że nie mogliśmy prawie chodzić. Na dą dodatek po wyjściu ze szpitala okazało się, że wszystkie nasze rzeczy, które posiadaliśmy zostały skradzione. Nie mieliśmy się nawet w cę ubrać. Żywiliśmy się makuchą i trawą. Ze względu na silne osłabienie czólgaliśmy się na czworakach z lepianki i rwaliśmy trawę, by w ten sposób zaspokoić głód. Skubaliśmy tę trawę jak zwierzątka.

Pewnego razu starsza siostra dowiedziała się, że istnieją polskie placówki, które pomagają takim ludziom jak my. Poszła tam razem z innymi polskimi mieszkańcami tego kołchozu do powiatowego czy okręgowego miasta o nazwie Sarasija. Dostała tam jedno małe pudełeczko makaronu. Dowiedziała się tam, że można je jeść żółwie. Mówili, że jak będziemy je jeść, to może jakoś przeżyjemy i nie pomrzemy z głodu. Żółwie te zbieraliśmy ukradkiem przed Uzbekami, bo oni jak to widzieli, to rzucali w nas kamieniami. Nie dlatego, żeby nam żalowali, ale z obrzydzenia jak można to jeść.

W lepiancem nie było pieca. Do środka lepianki było wgłębienie, tam leżały kamienie. Na tym stawiało się garnek i parzyło - zaparzało się żółwie. Drzewa nie było, więc zbieraliśmy łożdgi z bawełny. Na te cegły kładło się żółwie. Czekaliśmy jak tylko żółw wystawił głowę, to mia się ją ucinano. Jedzenie żółwi nas uratowało. Skorupy po nich nie mogliśmy wyrzucać na zewnątrz w obawie przed Uzbekami. Ukrywaliśmy je więc w kącie lepianki nakryte kamieniami i jakimś starym workiem. Jak się później okazało / zauważyła ^o starsza siostra / było tam gniazdo skorpionów. Myśmy sobie nie zdawali z tego sprawy. Nawet nie wiedzieliśmy, że są takie skorpiony. Cudem uniknęliśmy ukąszeń.

Pewnej nocy wszystkie polskie rodziny uciekły do miasta Sarasiji. Nie wiem jak długo tam byliśmy, pamiętam tylko jak siostra z matką chodziły żebrac o kawałek chleba. W Sarasiji dostaliśmy bilet i przeniesliśmy się do Hanaka. Tam zaczęto organizować Polski Dom Dziecka. Była tam też opieka dla takich ludzi jak moja matka - chorych i zmęczonych. W Hanaka opiekowała się moją matką, ale to wszystko było już za późno, za bardzo była już wyczerpana. Z tego głodu i wyczerpania zmarła moja matka i troje rodzeństwa. Pochowano ich bez trumien na cmentarzu w Hanaka. Pamiętam słowa piosenki : " Rozbitki bez kraju i bez rodziny, rzucił nas los w daleki, dziki kraj, gdzie ryż, bawełna, szakali płacz dziecienny - to woła głód, a kisaki grają marsza, to woła chłód, a w żyłach stygnie krew. Po zapomogę pójdzi ny dziś do Wajsa, a jeśli da, ażeby był tak zdrów..."

W tym okresie ciężko zachorowałam na krwawą biegunkę, szkorbut. Zajął się wtedy mną pielęgniarka Helena Lichwirowicz, która max pracowała w Domu Dziecka. Ona nie puściła mnie do szpitala w Hanaka, bo tam wszystkie dzieci umierały tylko zawiozła mnie do szpitala w Tadżykistanie do Stalinabadu / dzisiejszego Duszanbe /. Dzięki

temu najprawdopodobniej wogóle przeżyłam. W szpitalu tym wróciłam do zdrowia. Przebywałam tam bardzo długo. Leżałam w tym szpitalu chyba cały rok. Był okres, że ja wogóle nie chodziłam. Musiała przychodzić do mnie gimnastyczka i mnie masować. Dzieci umierały bardzo często. Pamiętam leżał koło mnie taki Mieczu z naszego Domu Dziecka. Tak się ucieszył jak mnie przywieźli, że będziemy razem leżeć, że będzie różniej. A rano się budzę a jego już nie ma. - umarł.

Bardzo często była malaria, krwawa biegunka, szkorbut, tyfus. Chorowaliśmy na mnóstwo chorób. Byliśmy tak wycieńczeni, wygłodzeni i osłabieni, że chorowaliśmy już na wszystko. Po powrocie z tego szpitala dla to już mnie prawie nikt nie poznał. W Domu Dziecka też się bardzo zmieniło. Ale wogóle to moje rodzeństwo nawet nie wiedziało czy ja jeszcze żyję. A już pod koniec pobytu w szpitalu nie było mi tak źle. Opiekowała się mną jakaś pani, która co jakiś czas przynosiła mi jakieś rzeczy do jedzenia: macę, mleko, nawet czasami czekoladę. Niestety okazało się, że byłam często okradana z tego przez personel szpitalny. Zdrowie moje polepszyło się zdecydowanie dopiero po transfuzji krwi. Gdy wróciłam, jak już wspomniałam, dużo się zmieniło. Dom Dziecka w został przeniesiony z Hanaka do Tadżykistanu w Stalinabadzkim Rejonie. Była w nim już tylko siostra Helena i brat Kazimierz i nasza starsza siostra Eleonora, która pracowała tam jako pomoc kuchenna. Tam miałam już dobrą opiekę. Zaczęłam nawet chodzić do szkoły. Niestety choroby wciąż mnie nękały. Po jakimś czasie zachorowałam na tyfus brzuszny i ponownie znalazłam się w szpitalu.

Dom Dziecka był już dobrze zorganizowany. Zajmowaliśmy budynek murowany, chyba po przedszkolu czy jakiejś szkole. Ja byłam w najmłodszej grupie. Mieszkaliśmy wszyscy razem, dziewczynki i chłopcy. Było nas dosyć dużo. Spaliśmy po cztery na dwóch łóżkach. Łóżka były już normalne - żelazne, na wierzchu miały materace. W upalne noce często spaliśmy na

W upalne noce często spaliśmy na podłodze. Nakrywaliśmy się wtedy zmoczonymi prześcieradłami. Prześcieradła te moczyliśmy w strumyku - nazywaliśmy go aryk / tak mówiliśmy na strumyk/. W okresach letnich wszyscy chorowaliśmy na mafrę, a jak kwitła bawełna to i na oczy. Dom Dziecka zamieniał się wtedy w szpital. Często musieliśmy pić chininę i akrychinę. Często nawet dostawaliśmy zastrzyki. Po takiej kuracji byłam zupełnie głucha. Miałam tylko saun w uszach. W okresie wakacyjnym z bieraliśmy bawełnę. Początkowo dyrektorem tego Domu Dziecka / alqniestety dość krótko / był Fieofan Stiepanowicz, a wychowawczynią Anna Famienczna. Później dyrektorem został Tajfel Julian, a jego żona - pani Pola wychowawczynią naszej grupy. Była także grupa starszych dziewczynek, starszych chłopców i średnich chłopców. W budynku szkolnym mieliśmy wydzielone klasy, gdzie uczono nas po polsku. Nauczycielami byli między innymi : p.Libin, Maria Gorfinkiel. Może nie był to poziom wysoki, nie była to prawdziwa szkoła, ale jednak czegoś z polskiego i matematyki nas nauczono - na pewno nam to pomogło później w szkole. Szefową kuchni była p.Walaskowa - matka Tadeusza Walaska, który został potem znanym bokserem i trenerem. Było jeszcze sporo personelu, ale trudno wszystkich wymienić. Wszystkie te osoby bardzo troskliwie opiekowały się nami. Chodziliśmy do teatrzyków dziecięcych. Starsze grupy robiły zabawy z tantejszą młodzieżą. Czasami chodzili sobie razem po ulicach z Rosjanami, którzy brali harmoszki chodzili i śpiewali. Ale my - sxx naluchy musieliśmy chodzić wcześniej spać

Przy Domu Dziecka była komenda i chyba jakiś areszt a dalej lasak Ipowy. Tam często nawet się bawiliśmy, bo gdzie indziej nie było denia. Przyjeżdżali tam Tadżycy, Uzbekcy /bo były tam ich urzędy / ale nie złego nigdy nas d nich nie spotkało. Nie mieliśmy żadnych stargów z tantejszą ludnością. Nawet w szkole,

do której chodziły dzieci bardzo wielu narodowości, nie było nienawiści, ani wrogiego nastawienia. Każde dziecko bawiło się w swojej grupie narodowościowej i tylko czasem zerknęło na jakieś dziecko z innej grupy, ale nikt nikomu nie szkodził.

Niedaleko w dolince było sztuczne jezioro i przepływała rzeka Duszambinka - pewnie od jej nazwy wzięła się późniejsza nazwa miejscowości, która po Śmierci Stalina została zmieniona ze Stalina-badu na Duszambe. W tamtym czasie wyraźnie występował kult Stalina. Jak dziewczynki wstawały od stołu i się przeżegnały, to nocna niania od młodszej grupy mówiła: " módlcie się nie do jakiegoś tam waszego Boga, tylko do Stalina, bo on daje wam jeść.

Pewnego dnia przyjechała do naszego Domu Dziecka ekipa ^{filmowa} ze Stalinabadu, aby utrwalic na taśmie nasze życie w tym domu. Nakręcono film p.t. "Polski Dom Dziecka w Stalinabadzkim Rejonie". W świetlicy filmowano jakąś sztukę - grała w niej nasza wychowawczynie i różne wychowanki z naszego domu. Ja tam tańczyłam. Następnie nakryto stoły: postawiono kubki, pieczywo, kiełbasę na talerzach. Niestety tylko oczami mogliśmy to wszystko jeść, bo od razu po zdjęciach wszystko zabrano. Marzeniem każdego z nas było zjedzenie czegośkolwiek do syta, a tym bardziej chleba i kiełbasy. W tych latach miejscowa ludność też cierpiała głód. Czasami to dzieci tych miejscowych ludzi miały gorzej niż my. My jedliśmy w Domu Dziecka słabo, ale jednak zawsze jakieś posiłki były. Czasem dostaliśmy zupełnie, 10 dkg chleba, czy trochę ryżu, a one czasem podchodziły pod nasze okna jadalni i podsuwały nam swoje puszki, żeby dać im coś do jedzenia. Oddawaliśmy im po łyżce ze swoich talerzy. Bardzo nam było ich żal. Mimo wszystko dla dzieci polskich taki Dom Dziecka był zbawieniem, bo w kolchozach byśmy wszyscy pomierali z głodu.

3 maja W 1946 roku nadszedł czas powrotu do Polski. Nasz transport

był chyba pierwszym transportem dzieci polskich wziętych do kraju. Wydaje mi się, że był pierwszy, bo nasz Dom Dziecka był najbardziej wysunięty na wschód. Po drodze zabieraliśmy dzieci z innych domów dziecka. Na dworcu w Stalinabadzie bardzo uroczyście i serdecznie nas żegnano. Nawet robiono zdjęcia uwieczniające nasz wyjazd. Przyszła też miejscowa młodzież i niemal ze łzami w oczach żegnała się ze starszymi spośród nas. Oni mieli przecież ze sobą trochę kontaktów, niektórzy wręcz się ze sobą zaprzyjaźnili - nie organizowali nawet wspólne wieczorki taneczne. Od Stalinabadu do granicy polsko - rosyjskiej czyli do Brześcia wiozł nas opiekun. Na podróż dostaliśmy plecaki, kołdry bawełniane i materace. Ja wraz z kilkoma koleżankami zostałam umieszczona w wagonie, który nazywano sztabem. Był w nim kierownik tego transportu tzn. przedstawiciel, który nas odwoził do granicy, a także wychowawcy i pozostały personel Died - Domu. W oknach wagonów były umieszczone biało - czerwone chorągiewki. Cały ten transport stanowiły wagony z polskimi dziećmi. Nasz Died - Dom zajmował cztery wagony. Po drodze byliśmy Samarkandzie, Alma - Acie, Fandze i zabieraliśmy stamtąd wszystkie polskie dzieci. Od naszego rejonu transport się zaczynał i jak już mówiłam na początku były 4 wagony a potem zrobiło się ich bardzo dużo. Z tym, że w tej drodze w drodze powrotnej pociąg składał się już z wagonów osobowych. Były oczywiście zupełnie inne warunki. Mieliśmy wygodne spanie, dostawaliśmy jedzenie. Wiozła i opiekowała się nami w drodze część personelu z naszego Domu Dziecka. Część z nich musiała wcześniej wyjechać, bo byśmy się sz wszyscy na raz nie pomieścili. Jechaliśmy dość długo, bo jest to przecież bardzo daleka trasa - przez pustynię Karakum. W Brześciu przesadzili nas do okropnych żelaznych wagonów towarowych. Było nam w nich gorąco i duszno. W drodze np. w Kutnie to Polacy rzucali w nas kamieniami - nie wiem

dlaczego. Jak nas dowieźli do Warszawy, to były tutaj jeszcze grupy, więc to wszystko razem nie było takie przyjemne jak sobie wesośniej wyobrażaliśmy. Myślałam, że będzie dużo przyjemniej jak wrócę do Polski. Tym bardziej, że jakżeż mi to dzieci, często wyobrażaliśmy sobie jak to będzie po powrocie. Marzyłam, że wrócę do swego domu i będzie tak dobrze jak w dzieciństwie, z czasów przedwojennych. Okazało się, że nie wszystko było jak trzeba. Wszystkie dzieci z naszego transportu zawieźli do Gostynina. Tam były niemieckie koszary. Wszystkich, a było nas około 5 000 dzieci ulokowali w dużych namiotach. Tam spaliśmy. Mieliliśmy połowę żółka. Chodziliśmy grupami do polowej kuchni na posiłki. Był tam w tym terenie pawilon wariatów. Jeden z tych pawilonów odstąpili nam, urządzono w nim szpitalik, bo wielu z nas chorowało. Przez jakiś czas była w tym szpitalu moja siostra, która zachorowała na malarię.

Po jakimś czasie zaczęto nas grupami wywozić z Gostynina w różne miejsca Polski. Mnie z siostrą i bratem zawieziono do Wrocławia. Po drodze, chyba w Oleśnicy, zapodziała się moja siostra, bo chciała wiedzieć co to jest agrest. Bo po dworcu chodzili ludzie i krzyczeli: "O jabłka, agrest...", a my tego nie znaleźliśmy przecież, nie wiedzieliśmy co to takiego może być. W ten sposób została tam moja siostra z jakimś domem koleżankami, a my pojechaliśmy dalej. Ja bardzo płakałam, bo myślałam, że wogóle ją zgubiłam. Tym bardziej, że człowiek był przyzwyczajony, że Rosja jest taka wielka, więc wydawało mi się niemożliwe, żeby można było ją jeszcze odnaleźć. Ale wieczorem przywieźli ją do nas. Zawieźli nas do Punktu Rozdzielczego na ul. Chełmońskiego, który był zrobiony jak Dom Opiekunów. Byliśmy tam jakiś czas. Tam faktycznie opieka była gorsza niż w Rosji w Domu Dziecka. Pamiętam, że ~~z~~ zachorowała moja siostra - na malarię. Miała bardzo wysoką temperaturę.

moja siostra ^{mi}
Przez tydzień chodziłam i prosiłam, żeby ktoś dał jej jakieś
tabletki- chininę albo coś innego. Nikogo to nie obchodziło.
Dopiero Tajfel Julian / który wcześniej był w Domu Dziecka w War-
szawie i akurat znalazł się we Wrocławiu / jak przyszedł nas do
odwiedzić i dę o tym powiedział to nam pomógł. Zrobił straszną
awanturę kierownicze. Nie wiedział jak to możliwe, że my przeżyliśmy
taką gehennę, nawet w Rosji się nami piekowali, a tutaj nie ma
dobrej opieki, nie ma kto się nami zająć. Zaraz wieczorem przyjechało
pogotowie i zabrano mnie stamtąd. Przeleżałam wtedy w klinice we
Wrocławiu trzy miesiące. Nikt nawet mnie nie odwiedził z tego
Domu Dziecka. Tam jakieś matki, które przychodziły do swoich dzieci,
to trochę się nade mną litowały, że jestem taka sierotka, której nikt
nikt nie odwiedza.

Potem zabrali nas do Piławy Górnej. Chcieli mnie wtedy roz-
dzielić z siostrą, ale tak płakałam przez cały dzień i noc, że
kierowniczka nie miała śmiałości i zostawiła nas razem. Uznano
mi 4 lata kursu z Azji. Wiadomo, że nie był to wysoki poziom, ale
uczono nas przecież polskiego i matematyki, więc uznano, że tro-
chę wiadomości, które zdobyłam na tych kursach w Stalinabadzie
można mi zaliczyć jako naukę szkolną. W Piławie Górnej było
bardzo przyjemnie. Nazywano ten Dom Dziecka - Domem Ojczystym.
Panowała tutaj bardziej rodzinna atmosfera, nie było nas już tak
dużo. Tam skończyłam szkołę podstawową - 7 klas. Niestety znowu
zacchorowałam. Zaczęły mi wypadać włosy, ale tak bardzo, że zaczęłam
łysieć. Okazało się, że mam straszną awitaminozę - całkowity brak
witamin w organizmie. Chciano mnie wysłać do preventorium, ale
ja się nie zgodziłam. Pojechałam wtedy ze starszą siostrą w góry.
Ona już wtedy wyszła za mąż i mieszkała w Karakonoszach w Kamien-
nej Górze. Tak jak i mniej więcej po trzech miesiącach przestałam
łysieć, włosy zaczęły mi odrastać.

Do dzisiaj wszyscy odczuwamy dolegliwości zdrowotne. Brat, który ma 42 lata jest na rękę - ma kłopoty z kręgosłupem. Moja siostra z Wrocławia ma drugą grupę inwalidzką - ma kłopoty z sercem i nerkami. Ja choruję na nerki. Już na Syberii puchłam, w Tadżykistanie jak mnie zabrali na krwawą biegankę to też byłam spuchnięta jak bania.

Oprócz tych kłopotów zdrowotnych, to nie wiem czy jakoś specjalnie wpłynął na nas ten pobyt na Syberii i w Azji np. na stosunek do ludzi. Nie mam do nikogo żalu, ani nienawiści. Nie mam uprzedzeń do ludzi, chociaż wyjechało nas z Polski 11 osób, a wróciło nas tylko czworo. Właściwie nawet Tadżycy, Uzbekcy to nie byli źli ludzie. Nigdy nie robili nam krzywdy. Zresztą w Domu Dziecka żyliśmy tak sami dla siebie. Mówiliśmy po polsku, żyliśmy we własnym środowisku. Może też nie wpłynęło tak to wszystko na mnie bo byłam przecież dzieckiem. Nie bałam się ludzi. Może było tak dlatego, że z wielu rzeczy nie zdawałam sobie sprawy. Nawet ze śmierci nie zdawaliśmy sobie sprawy, a może po prostu oswoiliśmy się z nią.

Nauczyłam się tam dzielić się z innymi, pomagać sobie wzajemnie. Dziwię się, że dzisiaj ludzie są tacy zawistni, żalują sobie wszystkiego jeden - drugiemu. Tak nie powinno być.

Jak by mnie ktoś spytał, tego najbardziej paragoniałam w życiu - to kawałek chleba. Ale teraz jestem szczęśliwa. Mam dobrego męża, dwóch dobrych synów, mam dobre warunki. Owszem czasem wracają złe wspomnienia, zwłaszcza jak jestem z siostrą albo jak dzwają się kłopoty zdrowotne, ale teraz jestem na prawdę szczęśliwa. Po prostu przeżyłam w Rosji 5 lat i 7 miesięcy / jak to kiedyś obliczył brat / ale to już minęło.

Błaszczak Gienia - jedna z wychowanek z Domu Dziecka w Uzbekistanie, razem wracały do Polski, były razem we Wrocławiu potem kontakt się urwał.

Bargiełpwski Władek - także wychowanek z Domu Dziecka. Aktualnie mieszka najprawdopodobniej w Zielonej Górze.

Gardocka Dżidka - wychowanki z Domu Dziecka

Gardocka Lilka

Pani Gardocka - matka dziewcząt, pracowała w Domu Dziecka jako kucharka.

Garfinkiel - nauczycielka z D.D. w *Stalinabadzie*

Kowalski Czesio - chłopiec z D.D.

Aktualnie mieszka we Wrocławiu

p. Kowalska - mama Czesia, pracowała w D.D. jako kucharka *am Hroćien ul. Chelmoniskiego*

Helena Libin i jej mąż - nauczyciele z Uzbekistanu. Pani Helena *umarła* mając 30 lat - w Uzbekistanie, tam została pochowana. Mieli syna Leonarda.

Ostrowski Mietek - wychowanek z domu dziecka

Piżel Stefania - *zam. w Białymostku*

Pobereżny Mietek -

54 term
Stern

Szpilman - pracował w administracji D.D.

Julian Tajfel - dyrektor Domu Dziecka w Stalinabadzie, wrócił wraz z transportem dzieci do Polski. Spotkali się potem we Wrocławiu. Aktualnie mieszka chyba w Warszawie *(nie żyje)*

Walasek Tadek - chłopiec z D.D., późniejszy bokser i trener.

zam. w Harszowie. Respondentka spotkała się z nim, gdy mieszkała już w Głogowie.

pani Walasek - matka Tacka, pracowała w D.D. jako kucharka

Walasek : Krysia, Henryk, Jadwiga - ^Arodzeństwo Tacka. Wszyscy byli

razem w D.D. *am Harszowa*

*Mano Orszł z d. Żyggar zam. Harszowa ul. Radomska 16/11
tel. 22-42-14*